

Sekrety nie umierają nigdy.

Simon Greene żyje na krawędzi obłądzenia. Od miesiąca szuka swojej córki, Paige. Kiedy wreszcie trafia na jej ślad – namierza ją w Central Parku, gdzie ćpuni grają dla pieniędzy przy pomniku Lenona – na jego drodze staje Aaron, człowiek, przez którego uciekła. A Paige znowu znika.

Tym razem jednak Simon nie zamierza odpuścić – za wszelką cenę chce sprowadzić córkę do domu. Ale sytuacja się komplikuje... W mieszkaniu, w którym koczowała dziewczyna, zostają znalezione zwłoki Aarona. A kiedy żona Simona, do której ktoś strzelał, walczy o życie, on musi zadać sobie pytanie – w co wplątała się ich córka? I czy to ona zabiła?

Aby znaleźć odpowiedź, Simon posunie się nawet...
o krok za daleko.

*Nie ma lepszego autora thrillerów.
Nie ma lepszego pisarza tak zakręconych historii.*

Thieving Books

harlancoben.com

HARLAN
COBEN
O krok za daleko

HARLAN COBEN

O krok za daleko

Thriller



ALBATROS

COB

Patroni medialni:

Multikino

URODA

Wydzielnik

EKRANIE.PL

lubimyczytać.pl

ZBRONIA

PORTAL
KRYM...NAL

WYDAWNIC
ALBATROS

Wydawnictwo Albatros

MBP Cieszanów
O krok za daleko /



0000028305

Rozdział 26

Wciąż czekając na wiadomość od lekarza, Simon w poczekalni zabrał się do załatwiania spraw, o których rozmawiał z Eleną Ramirez. Nie miał numeru macochy Aarona, Enid, więc zadzwonił do Corval Inn i przekazał wiadomość dla niej recepcjonistce, sądząc po głosie, tej, którą poznał osobiście.

To jednak prowadziło donikąd.

Następnie zamierzał sprawdzić kartę kredytową, którą Paige posługiwała się w Lanford College. Była to visa i chociaż Simon musiał ją unieważnić, kiedy córka zaczęła z niej korzystać, żeby kupować narkotyki dla siebie i Aarona, wciąż miał dostęp do wyciągów. Pobrał je i zaczął przeglądać.

Okazało się to bolesne. Pierwsze wydatki córki były niewinne, jak to studentki: miejscowe knajpki, gdzie jadła drobne posiłki, sklep Lanford College sprzedający artykuły piśmiennicze i koszulki z emblematem uczelni, drogeria z przyborami toaletowymi. Dwie transakcje w Rita's Italian Ice w Poughkeepsie i jedna, na sumę sześćdziesięciu pięciu dolarów, prawdopodobnie kupno sukienki, dokonana w Elizabeth's Boutique.

Żadnych płatności na konto DNAYourStory.

Znalazł jednak kwotę w wysokości siedemdziesięciu dziewięciu dolarów, pobraną przez Ance-Story. Wygooglował tę firmę i faktycznie była to strona, która oferowała *uzupełnienie drzewa genealogicznego poprzez testy DNA*. Właśnie czytał zamieszczone na niej informacje, gdy wezwał go kobiecy głos.

– Pan Simon Greene?

Doktor Heather Grewe wciąż miała na sobie klasyczny niebieski kitel chirurga. Klasyczny niebieski. To mu się podobało. Uważał ten kolor za poważny i jednocześnie uspokajający. Zbyt wiele pielęgniarek i pracowników medycznych nosiło wymyślne kolorowe uniformy, jaskraworóżowe, w kwiatki albo ze SpongeBobem czy z Ciasteczkowym Potworem. Zgoda, rozumiał to – jeśli ktoś pracuje w takim miejscu od rana do wieczora, może mieć ochotę ubrać się trochę inaczej, i oczywiście noszenie czegoś wesołego w równie smutnym otoczeniu ma sens, ale jeśli to nie oddział pediatryczny, Simon wolał jednak poważne, surowe stroje i z zadowoleniem stwierdził, że lekarka jego żony ma na sobie właśnie taki.

– Pańska żona przed chwilą opuściła salę operacyjną. Jej stan się ustabilizował.

– Czy nadal jest w śpiączce?

– Obawiam się, że tak, ale bezpośrednie zagrożenie życia minęło.

Doktor Grewe zaczęła tłumaczyć mu szczegółowo kwestie medyczne, ale Simon nie mógł się skupić. Zasadniczo sytuacja przedstawiała się tak samo.

Bez zmian.

Kiedy lekarka skończyła, podziękował jej i zapytał:

– Czy mogę zobaczyć żonę?

– Tak, oczywiście.

Zaprowadziła go na salę pooperacyjną. Do tej pory nie wyobrażał sobie, że osoba w śpiączce może wyglądać na zmęczoną, ale walka o życie najwyraźniej wyczerpała Ingrid. Leżała nieruchomo, jak poprzednio, ale teraz ten bezruch sprawiał jeszcze bardziej niepokojące wrażenie. Jego żona wydawała się taka delikatna, krucha. Niemal bał się ująć jej rękę, jakby miała rozpaść się w jego dłoni.

Ale zrobił to.

Usiłował wyobrazić sobie Ingrid siedzącą prosto, zdrową, piękną, pełną energii. Przypomnieć inne chwile w tym szpitalu, lepsze czasy, żonę trzymającą w ramionach któreś z ich nowo narodzonych dzieci, lecz te obrazy szybko ulatywały mu sprzed oczu. Widział jedynie Ingrid słabą, bladą, jakby skurczoną, na granicy życia i śmierci. Patrzył na nią i myślał o tym, co Yvonne powiedziała mu o przeszłości i o związanym z nią tajemnicach.

– Mam to gdzieś – powiedział głośno do nieprzytomnej żony.

Cokolwiek kiedyś zrobiła (zakładał najgorsze: oszustwo, narkotyki, prostytutkę, nawet morderstwo), był gotów jej wybaczyć. Każdą rzecz. Bez wchodzenia w szczegóły, bez pytań.

Wstał i przytknął usta do ucha żony.

– Tylko wróć do mnie, kochanie.

Mówił prawdę. Jednak nie do końca. Nie obchodziła go przeszłość Ingrid. Ale pewne pytania wymagały odpowiedzi. O szóstej po południu porozumiał się z dyżurną pielęgniarką, sprawdził, czy mają numer jego komórki, i wyszedł z dusznego szpitala na świeże powietrze. W normalnych okolicznościach

pojechałby do mieszkania metrem, ale wolał nie schodzić pod ziemię, żeby nie stracić zasięgu, w razie gdyby do niego dzwoniło. Uznał, że o tej porze jazda ze szpitala do domu na Upper West Side zajmie najwyżej piętnaście minut. Dopóki miał przy sobie telefon, to gdyby coś się zmieniło, mógłby szybko tam wrócić.

Nie chciał zostawiać Ingrid, ale musiał coś zrobić.

Zamówił ubera przez aplikację i poprosił kierowcę, żeby zatrzymał się przed dwudziestoczworgodziną drogerią Duane Reade przy Columbus Avenue w pobliżu Siedemdziesiątej Piątej. Wbiegł do środka, kupił sześciopak szczoteczek do zębów i z powrotem wskoczył do samochodu. W mieszkaniu (o rany, kiedy ostatnio był w domu!) panowała cisza. Przeszedł na palcach przez hol i zajrzał do pokoju po prawej stronie.

Sam spał na boku, w pozycji embrionalnej, z nogami przyciągniętymi do piersi. Zawsze tak sypiał. Simon nie chciał go jeszcze budzić. Skierował się do kuchni i otworzył szufladę z plastikowymi woreczkami. Wziął kilka z nich i po cichu ruszył do tak zwanej łazienki dziewczynek, którą Paige dzieliła z młodszą siostrą.

Żartowali sobie w domu, że dzieci nie zmieniają szczoteczek do zębów, nie tylko gdy dopóki włosie nie zacznie się strzępić, ale wręcz dopóki nie wyjdzie. Przed laty więc Simon zaczął co dwa miesiące kupować pakiety szczoteczek i wymieniać stare na nowe. Zamierzał zrobić to tego dnia, więc nikt by się nie zorientował, co takiego planuje, zresztą kto miałby się zorientować?

Szczoteczka Paige tkwiła na swoim miejscu od czasu ostatniej wizyty córki (o rany, ile to już czasu?)...

Delikatnie wziął ją za trzonek i umieścił w plastikowym woreczku. Miał nadzieję, że będzie na niej dostatecznie dużo materiału genetycznego, żeby przeprowadzić jego analizę. Już miał wyjść z łazienki, ale się zatrzymał.

Ufał Ingrid. Naprawdę jej ufał.

Skoro jednak uznawał, że „przezorny zawsze ubezpieczony” – taką miał dewizę życiową – włożył do następnego woreczka szczoteczkę Anyi. Przeszedł do drugiej łazienki i do kolejnego zapakował szczoteczkę Sama.

Czuł się okropnie, jak zdrajca.

Potem wstąpił do sypialni i schował torebki do plecaka, który nosił do pracy. Spojrzał na wyświetlacz telefonu. Żadnych wiadomości. Było jeszcze wcześniej, ale wysłał Suzy Fiske esemesa:

**Wróciłem na jakiś czas do domu. Jeśli nie śpisz,
czy mogłabyś obudzić Anyę i powiedzieć jej,
żeby przyszła na śniadanie?**

Nie wiedział, jak długo będzie musiał czekać na odpowiedź, ale zobaczył błyskające kropki, które świadczyły o tym, że Suzy już odpisuje.

Zaraz ją obudzę. Coś się u Ingrid zmieniło?

Powiadomił sąsiadkę, że nie, nie wydarzyło się nic nowego, i podziękował jej za opiekę nad Anyą. Odpowiedziała, że nie ma sprawy, cieszy się z obecności Anyi, i choć Simon wiedział, że chce być uprzejma, uświadomił sobie, że coś w tym jest. Suzy miała dwie córki, które – jak większość siostr w tych

czasach – stale się ze sobą kłóciły. Jeśli do takiej wybuchowej mieszanki doda się trzeci składnik, jakim była Anya, chemia zmienia się na tyle, że wszystko staje się łatwiejsze.

Simon wysłał wiadomość:

Mimo to jestem Ci bardzo wdzięczny.

Wrócił do kuchni. Wszyscy jego koledzy z Nowego Jorku nagle polubili gotowanie. A przynajmniej tak twierdzili. Rozwodzili się elokwentnie o jakimś trudnym risotcie, które ostatnio przyrządzili, o przepisie z cotygodniowego mailingu „New York Timesa” albo o czymś podobnym. Zastanawiał się, kiedy gotowanie stało się nowym snobizmem, który zastąpił znajomość win? Czy nie było przede wszystkim obowiązkiem? Czy gdy czytało się książki historyczne albo oglądało, do cholery, stare filmy, praca kucharza nie była w domu najgorszym zajęciem? Jaka kolejna ciężka robota stanie się wielką sztuką? Czy w następnej kolejności jego przyjaciele zaczną porównywać odkurzacze?

Umysł w stresie ma skłonność do takich dywagacji.

Rzecz w tym, że Simon umiał przyrządzić tylko jedno danie (to znaczy miał swoją specjalność), które serwował z wielkim halo w te weekendowe poranki, kiedy rodzina zbierała się razem, a on, ojciec, był w nastroju: naleśniki z wiórkami czekoladowymi.

Na czym polegał sekret ich powodzenia?

Wiórków czekoladowych nigdy za dużo.

– To raczej wiórki z naleśnikami – żartowała Ingrid.

Wiórki czekoladowe znajdowały się w górnej szafce. Ingrid zawsze dbała, żeby ich nie zabrakło, chociaż Simon nie przy-

rzęczał swojej specjalności od długiego czasu. Ta refleksja go przygnębiła. Brakowało mu dzieci. Zapominając na chwilę, jak tragicznie stoczyła się Paige – jeśli w ogóle był w stanie zapomnieć – pomyślał, że wyjazd najstarszej córki do college'u okazał się trudniejszym doświadczeniem, niż się spodziewał. Kiedy Sam opuścił dom, było dwukrotnie ciężiej. Dzieci odchodziły. Już nie dorastały – były dorosłe. I go porzucały. Owszem, było to całkiem naturalne, prawidłowe i tak dalej, i lepiej, żeby się usamodzielniały, niż gdyby miało być inaczej. Ale mocno to przeżywał. W domu było zbyt cicho. Nie znosił tego.

Kiedy Sam kończył szkołę średnią, gospodarz jego klasy, pełen dobrych intencji, zamieścił na szkolnym portalu społecznościowym wpis. Tekst pod klasycznym zdjęciem przedstawiającym piękną plażę o zachodzie słońca, obowiązkowo z falami delikatnie bijącymi o brzeg, głosił:

Kochajcie swoich rodziców. Nie zapominajcie, że gdy
my dorastamy, oni się starzeją.

Przeczytali to z Ingrid w tej właśnie kuchni. Potem żona skomentowała: „Wydrukujmy to, zwińmy w rulon i wetknijmy w jakiś nadęty tyłek”.

Boże, jak ją kochał.

Czytając ten post, siedzieli przy stole i Ingrid opierała się o jego ramię. Później zarzuciła mu ręce na szyję, nachyliła się tak, że jej oddech owiał mu ucho, i szepnęła:

– Gdy dzieci opuszczą dom, będziemy mogli więcej podróżować.

– I biegać po domu nago – dodał.

– No dobra.

– I więcej się kochać.

– Nadzieja umiera ostatnia.

Żartobliwie wydał usta.

– Czy więcej seksu by cię uszczęśliwiło? – zapytała.

– Mnie? Nie. Chodziło mi o ciebie.

– Co za poświęcenie z twojej strony.

Simon wciąż jeszcze uśmiechał się na to wspomnienie, kiedy usłyszał głos Sama:

– O rany, słynne naleśniki taty.

– Owszem.

Twarz syna się rozjaśniła.

– Czy to znaczy, że z mamą jest lepiej?

– Nie, niestety, nie.

Cholera. Tego nie przewidział – że gdy syn zobaczy go smażącego naleśniki, wyciągnie pochopne wnioski.

– To znaczy – podjął – że chciałyby, abyśmy zamiast się mazać, wrócili do normalności. – Słyszał, że jego ojcowski ton nie brzmi tak dziarsko, jak powinien.

– Ty smażący naleśniki to już nie jest nic normalnego – zauważył Simon. – To coś wyjątkowego.

Miał rację. W pewnym sensie. Bo śniadanie okazało się i normalne, i wyjątkowe. Wkrótce od sąsiadów przyszła Anya i rzuciła się na ojca, jakby był kołem ratunkowym. Simon objął ją i przymknąwszy oczy, tulił tak długo, jak tego potrzebowała.

We troje zasiedli przy okrągłym stole – mimo że prostokątny pasowałby tam lepiej, Ingrid upierała się przy takim, bo twierdziła, że sprzyja rozmowie – i chociaż rzucało się w oczy, że dwa krzesła stoją puste, zrobiło się jakoś normal-

nie i jednocześnie wyjątkowo. Anya niebawem całą buzię umazała sobie czekoladą i Sam zaczął się z niej śmiać, a wtedy dziewczynka przypomniała, jak ich matka nazywała takie śniadanie „czekoladą z wiórkami naleśnikowymi”.

W pewnym momencie Sam nie wytrzymał i prawie się rozplakał, ale to też wydało się jakieś normalne i wyjątkowe. Anya zsunęła się z krzesła i uściskała starszego brata, a on nie wzbraniał się przed tym, i Simon poczuł ból w sercu na myśl, że Ingrid tego nie widzi. Zamierzał jednak zapamiętać tę scenę i gdy tylko żona odzyska przytomność, opowiedzieć jej, jak ich syn szukał pocieszenia u młodszej siostry – akurat u niej! – a ona mu je zaoferowała. To, że pewnego dnia, kiedy on i Ingrid zestarzeją się albo umrą, ich dzieci będą miały siebie, na pewno by Ingrid ucieszyło.

Gdy Sam i Anya zmywali naczynia – rodzinna zasada: ten, kto gotuje, nie sprząta potem w kuchni – Simon wrócił do sypialni. Zamknął za sobą drzwi. Był w nich zamek, najprostszy, jakie się wstawia, żeby dzieci nie nakryły rodziców w jakiejś niefortunnej sytuacji. Obrócił więc w nim klucz i otworzył szafę Ingrid. W głębi wisiało sześć pokrowców ze strojami wizytowymi. Rozpiął czwarty, z klasyczną granatową sukienką, i wsunął rękę na jego dno.

Tam trzymali gotówkę.

Wyjął dziesięć tysięcy dolarów w banknotach i wetknął do plecaka, obok szczoteczki do zębów. Potem zajrzał do telefonu, żeby sprawdzić, czy nie przyszły jakieś ważne wiadomości, i wrócił do kuchni. Anya ubrała się do szkoły. Uściskała ojca na pożegnanie i wyszła z Suzy Fiske. Simon odprowadził je do drzwi, a potem odbył kolejną z wyimaginowanych rozmów z Ingrid: tym razem zapytał ją, jaki prezent kupić Suzy, gdy

będzie już po wszystkim – bon podarunkowy do tej restauracji z pierogami, kupon na jednodniowe zabiegi spa w Mandarin Oriental czy coś bardziej osobistego, jak biżuteria?

Ingrid będzie wiedziała.

Dotarło do niego, że przez cały czas tak z nią rozmawia: opowiada, czego się dowiedział, i obserwuje jej reakcję, ale wstrzymuje się od pytania, które chciał jej zadać, tego, które mieli w głowie z Eleną i które go gnębiło, odkąd wypłynęła ta cała paskudna sprawa z genealogią.

Zarzucił plecak na ramię.

– Sam? Jesteś gotowy?

Zjechali windą i złapali przejeżdżającą taksówkę. Kierowca, jak prawie każdy taksówkarz w Nowym Jorku, po cichu mówił do słuchawki w obcym języku, którego Simon nie mógł rozpoznać. Nie było w tym oczywiście nic niezwykłego, wszyscy się już do tego przyzwyczaili, ale jego uwagę zwróciły niesamowicie silne więzy rodzinne u tych ludzi. Chociaż bardzo kochał Ingrid, a nawet gawędził z nią w wyobraźni, nie wyobrażał sobie takiej sytuacji, żeby miał godzinami rozmawiać z nią czy kimkolwiek innym przez telefon. Z kim przez cały dzień gadali ci taksiarze? Jak bardzo ktoś musiał ich kochać – może nawet nie jedna osoba? – żeby tyle czasu słuchać, co mają do powiedzenia?

– Mama miała zapaść – powiedział do syna – ale już z nią lepiej.

Wy tłumaczył, co się stało. Sam przygryzł wargę i słuchał. Kiedy zajechali przed szpital, Simon polecił synowi:

– Idź na górę i posiedź przy mamie. Ja za chwilę do ciebie dołączę.

– Dokąd idziesz?

– Mam coś do załatwienia.

Sam popatrzył na niego.

– No co?

– Pozwoliłeś, żeby mamę postrzelono.

Simon już otwierał usta, żeby powiedzieć coś na swoją obronę, ale się powstrzymał.

– Powinieneś być ją chronić.

– Wiem – odparł. – Przykro mi.

Pozostawił syna na chodniku. Przypomniał sobie tamten moment. Ujrzał Luthera mierzącego z pistoletu. I siebie, jak robi unik, tak że kula trafiła w Ingrid, a nie w niego.

Ależ z niego tchórz.

Jednak czy tak właśnie było?

Naprawdę zrobił unik? Nie był pewny. Czy rzeczywiście tak to właśnie przebiegło? Cofając się pamięcią i starając się zachować obiektywizm, uświadomił sobie, że wcale tak tego nie widział, że czas i poczucie winy wyparły prawdziwe wspomnienie i zastąpiły je wymagowanym, które miało go potem prześladować.

Czy mógł zrobić coś więcej? Zasłonić Ingrid?

Prawdopodobnie tak.

W głębi duszy zdał sobie sprawę, że to niesprawiedliwe. Wszystko wydarzyło się tak szybko. Nie było czasu na reakcję. To jednak nie zmieniało stanu rzeczy. Powinien był zrobić więcej. Odepchnąć Ingrid. Zasłonić ją.

„Powinieneś być ją chronić...”

Wkroczył do Showlin Pavilion i pojechał windą na dziesiąte piętro. Recepcjonistka zaprowadziła go korytarzem do laboratorium. Tam wyszedł mu na spotkanie technik, Randy Spratt.

– Nie wiem, dlaczego nie możemy tego załatwić normalną drogą – powiedział niechętnie, wyciągając rękę w lateksowej rękawiczce.

Simon otworzył plecak i wręczył mu trzy plastikowe torebki ze szczoteczkami do zębów. Początkowo zamierzał przynieść tylko szczoteczkę Paige, ale po namyśle uznał, że skoro już wraca na tę mroczną ścieżkę, przemierzy ją do końca.

– Muszę wiedzieć, czy jestem ich ojcem. – Wskazał żółtą szczoteczkę, należącą do starszej córki, i zaznaczył: – Ta jest priorytetowa.

Oczywiście nie był zadowolony z tego, co robił. Ale to nie była kwestia zaufania, powiedział sobie. Tylko spokoju ducha.

Znowu jednak zdał sobie sprawę, że próbuje się usprawiedliwić.

Nieważne.

– Mówił pan, że da się przyspieszyć sprawę – dodał.

Spratt kiwnął głową.

– Proszę mi dać trzy dni.

– O nie.

– Słucham?

Simon sięgnął do plecaka i wyjął zwitek banknotów.

– Nie rozumiem...

– To dziesięć tysięcy dolarów w gotówce. Jeśli przekaże mi pan wyniki do końca dnia, dostanie pan drugie tyle.